



ZACZAROWANA LATARENKA

(Dokończenie)

Usłuchała księżniczka. Z początku szła odważnie, słysząc za sobą Homira, nuącego znaną jej radosną, monotonną pieśń. Lecz gdy już głos jego przestał dochodzić, ogarnął ją niepokój. Jakiś szelest, świst, śmiech syczący zaczął szaleć wokoło, a od ziemi, od mchów, od olbrzymich, starych drzew odrywały się maskary okropne z błyszczącymi, zielonemi oczami, kosmate, cudaczne. Zabięły jej drogę, pod nogi się rzucały, by tylko naprzód nie szła.

W księżniczce zamarło na chwilę serce ze strachu, lecz wspomniawszy na słowa Homira, na rycerza z dalekiej krainy, krzyż śmiałą ręką w powietrzu nakreśliła. Pierzełły wówczas wszystkie straszdyłamamidła, więc Milada z dumnie podniesioną głową zaczęła iść poprzez czerń boru. Doszła nareszcie do Uroczyska. Tu jasno było od poświaty księżycy. Podeszła do kurhanu knehini, westchnęła z całego serca i zawołała drżącym ze wzruszenia głosem:

— Matuchno, matuleńko,
ulituj się nad córeńką.
Z rozkazu bożego,
z nieba gwiazdzistego
przyjdź na ratunek!

I stała się nagle dziwna cisza. Wiatr przycichł, przestały szumieć drzewa, a przed Miladą stanęła knehini Tomira piękna i łagodna, jak żywa. Milada ramiona ku niej podniosła, prosząc gorąco, by z pomocą jej przyszła w strapieniu.

Knehini złoto-rudą główkę pochyliła, uśmiechnęła się cudnie i rzekła:

— Wracaj z Homirem na zamek, córeńko! Wracaj! A w schowku koło łóża swego zastaniesz zaczarowaną latarenkę, która cię ze wszystkich kłopotów wywiedzie. Pamiętaj tylko przez całe długie życie, że każdemu w potrzebie pomagając masz, jak tobie pomogłam.

I nauczyła księżniczkę, co i jak robić z latarenką w ciężkiej godzinie, potem dotknęła jej czoła swą miłuchną dłonią i znikła. Księżniczka głośno matuchnie podziękowała, choć jej już widać nie było, i co tchu zpowrotem ruszyła.

Na pół drogi spotkała Homira. Razem tedy na zamek wrócili i czempredzej do komnaty księżniczki poszli latarenkę oglądać.

Cudna to była latarenka, choć tak niewielka, że i dziecko nosićby ją mogło. Zamiast szybek — drogocenne kamienie, wprawione w pięknie cyzelowane złoto. Zamiast rączki — cztery łańcuszki złożone na kółku, które na każdy gwóźdź powiesić było można. A zameczek na drzwiczkach był z płaskiego rubinu.

Tak więc, jak matuchna kazala, postawiła Milada zaczarowaną latarenkę w pobliżu i czekała z Homirem ranka, kiedy to kneziowie po odpowiedzię przyjsię mieli.

Przyszli. Ledwie słońce wzeszło. Słyszcząc głosy ich i kroki na schodach, księżniczka szybko-chybk do latarenki podbiegła i według przykazania matuchny, płaski rubin latarenki przekreśliła.

Zdarzył się wtedy dziw nad dziwy. Zdało się księżniczce, że ciało jej zaczyna się kurczyć, staje się coraz lżejsze, mniejsze i nagle zmieniała się w małą malutką, do latarenki wskoczyła i drzewiczki za sobą zatrzasnęła. W latarence zapłonął wtedy ogień nieparzący-niegaszący i blask tęczy rozszedł się od niego dokoła. Kiedy księżniczka znikła, Homir szybko latarenkę schwytył, nad łóżem wychyłki powiesił i wybiegł cicho.

Gdy do komnaty wkroczył szumnie kneź Sława z Witymem i kneziami, chcąc się przed wszystkimi szczęściem druha radować, księżniczki nie było. Zaczęto ją wołać — nawoływać, szukać — poszukiwać. Naprawdę. Powstał krzyk i hałas nieopisany. Kneziowie ze Sławą do komnaty Homira wpadli, nie ruszyli go wprawdzie, widząc, że się modli, lecz wszystko, nawet skrzynie przetrzęśli księżniczki szukający.

Szukali dzień, drugi, trzeci, w ogrodach; po lasach, pieczarach. Nie znaleźli. Sława i Witym włosy z głowy rwali nagrody za znalezienie księżniczki obiecując. Z początku pomagali im kneziowie i lud, lecz gdy skończyły się światowidowe obchody, każdy wrócić musiał do swej pracy i domu. Rozeszli się więc, rozjechali, Witym również do swego grodu pociągnął, knezia Sławę samego zostawiając.

Chodził po zamku Sława w dzień i w noc. A kiedy się zmęczony zmartwieniem, szukaniem, do komnaty Milady szedł, jakby go tam jakaś dziwna siła ciągnęła, na zydelku siadał. Noc w noc w smętkętności spędzając, wpatrywał się w migocące światło latarenki, która cieszyła mu oczy swym plomyczkiem nieparzącym-niegaszącym. Siedział, wzdychał, słodkimi słowami córuchnę drogą wzywał, jakby ją czuł koło siebie..

Skarżył się kneź na swój los, z goryczą wypominając sam sobie te lata, kiedy to dla swego smutku o córuchnę zapomniał, na niego widzieć nie chciał.

— Poszłaś sobie, poszłaś, — zawodził. — Widać nie kochałaś ojczyzna starego. A przy kim-że resztę lat moich spędzę bez radości, przy kim, córuchno?..

Słyszała jego skargi księżniczka Milada. Słyszał i Homir. Każde z nich żałowało knezia, lecz pomóc mu nie mogli, bo jeszcze nie dosyć nie samolubną miłością wypełniło mu się serce, bo jeszcze wiedzieć nie chciał, że słowo złamał, dane knehini Tomirze, bo jeszcze nie pora była. Z mie-

siąca na miesiąc starzał się kneź Sława, srebrem mieniła się już jego broda i bujna czupryna, a serce wciąż uciszyć się nie mogło.

Kiedy tak raz siedział a smęcił się głęboko, z Witymem gwarząc, do komnaty wpadł pokojowiec kneziowy z wielkim krzykiem:

— Kneziu panie! Jakoweś wojsko zamorskie ze straszniemi stworzeniami pod zamek wali, aż kurz chmurą idzie.

W tej samej chwili do uszu wszystkich granie dziwnych trąb dobiegło. Kneź podniósł się ciężko i do przedsiönka ruszył, a tu kołatanie do wrót zamkowych rozlegać się zaczęło. Kneź się zamyslił — otwierać, nie otwierać, gdy ujrzał nagle przed sobą Żywją, białych mórz królowę. Zdziwił się a zdumiał kneź, lecz Żywja rzekła:

— Otworzyć każ wrota, Sławo! Sprawiedliwość do wrót kołacz!

Więc kazał kneź wrota otworzyć, bo nie urodził się jeszcze ten, kto by Żywją rozkazów nie słuchał.

Wjechał wtedy na podwórce zamkowe cud-rycerz na karym ognistym koniu z czeladzią, z pacholkami, za murami wojsko swe i tabory zostawiając. Cud-rycerz przed kneziem osadził konia i rzecze:

— Kneziu Sławo. Z dalekiej krainy jestem rycerzem, któremu Tomira-królowa córkę za żonę przyrzekła. Przybyłem więc z drogi rozdrożnej o księżniczkę cię prosić, by ją do mego zabrać gniazda.

Witym, że to o przyrzeczeniu knehini Tomiry słyszeć nie chciał, słysząc to z miejsca uskokował, zebrał się w sobie, by na obcego rzucić się rycerza. Lecz gdy Żywja na ramieniu dłoń mu położyła swoją dobrotliwą, przycichł i stanął z opuszczoną głową. Wtedy Żywja dobrzemi oczyma spojrzała na knezia Sławę, który zamęcony, strapiiony, ręce bezradnie rozkładając, odpowiedział rycerzowi z dalekiej krainy:

— Rycerzu, dzisiaj, kiedy mnie żalność przeżarła, z serca dałbym ci ją za żonę. Lecz niema księżniczki! Była chwila, gdy ją druhowi memu za żonę oddać chciałem, by do wieku oczy nią cieszyć, chociaż przyrzekłem knehini, że tobie ją zachowam. Przeleżała się i znikła mi.

— A gdyby się nagle zjawiła, czy oddałbyś ją dobrowolnie rycerzowi przyrzeczonemu? — spytała Żywja, patrząc kneziowi przez oczy aż do głębin serca.

— Oddałbym. Niechby szczęśliwą była córuchna nasza. Trępię się wielce, że błąka się po świecie, gdy u ojca radować się powinna. Złym jej byłym opiekunem..

Żywią, słysząc słowa skruszonego knezia, skinęła na Homira, który w głąb zamku pobiegł, a po chwili z zaczarowaną latarenką wrócił. Wzięła tedy Żywią latarenkę w rękę i rzekła do knezia:

— Tu się przed twem złamanym słowem schroniła księżniczka. I temu tylko latarenka się otworzy, kto księżniczce na męża jest przeznaczony. Próbuń więc, Witymie! Wolno ci próbować!

Witym, słowami Żywi zdumiony, drżąc dłoń wyciągnął, lecz próżno raz i drugi rubin latarenki przekręcić próbował. Nie otwierały się drzwiczki. Wtedy Żywią do obcego zwróciła się rycerza:

— Więc ty może otworzysz, rycerzu?

Rycerz z dalekiej krainy bez żadnego trudu przekręcił odrazu płaski rubin zaczarowanej latarenki i w tej samej chwili otworzyły się drzwiczki; różowy płomyczek z latarenki na wolność wyleciał, zapłonął jaskrawo, wił się, przewijał w powietrzu i nagle przed zdumionymi oczami wszystkich wokoło stanęła księżniczka, radosna i cudna jak przedtem. Żywią do nóg się skłoniła, knezior i Sławie rzuciła się na szyję i wreszcie rycerzowi przyrzeczonemu podała rękę.

Radość była wielka, a weselisko księż-



niczki z rycerzem tak huczne, że o niem potem z dziada na wnuki opowiadano. Po weselu rycerz z księżniczką i Homirem na olbrzymim słoniu w przepięknym namiocie zasiedli i z wojskiem i taborem do dalekiej krainy wyruszyli z wdzięcznymi, radosnymi sercami.

Przygody Jasia

Jak przystało na łobuza,
Jasio ciągle szukał guza.
Raz w pogodny dzień kwietniowy
pomysł przyszedł mu do głowy:
zamiast bawić się przy domu,
drapnąć w pole pokryjomu.
Gdy z powrotem się przemryka,
widzi, że od śpichlerzyka
ktoś szeroko drzwi otwiera
Była to stara rudera
z piętorkiem; schody-drabina.
Jaś się żwawo po nich wspina,
nie był jeszcze tam na górze;
z okienka widać podwórzel
Już późno, wracać potrzeba,
schodzi więc... O, wielkie nieba!
Drzwi zamknięte... Mimo ciszv.

krzyków jego nikt nie słyszy...
Jaś głodny. Ach! bez wieczerzy
spać mu przyjdzie! O! tu leży
worek; to będzie posłanie...
W nocy... piski i tupanie:
z szelestem myszy i szczury
wyskakują z każdej dziury!
Jasio słyszał raz od taty,
że zjadły króla przed laty...
Włosy mu się jeżą z trwogi,
serce bije, ach, drżą nogi!
Tak przemęczyl się noc całą,
aż wreszcie, gdy słońce wstało,
ludzie śpichlerz otworzyli
i biedaka wypuścili.

Z. Sokołowska

Jesienią

Do okienka puka jesień,
wiatr po niebie chmury niesie,
opadają już listeczki
— Barciu siwa, mów bajeczki!..
Tam na deszczu szumią drzewa,
w szparach chatki

świerszczyk śpiewa.
Przy kolanach babuleńki
siedzi cicho Staś maleńki.
— Powiedz, babciu, bajkę cudną,
że piękniejszej znaleźć trudno,
żeby było dziwów dużo,
aż się do snu oczka zmrują.
Cyt — na słocie drzewa mokną...
Czy to ktoś zapukał w okno?
— Babciu, może tam za progiem
jakie dziecko drży ubogie?
Trzeba prędko drzwi uchylić,
niechże wejdzie tu w tej chwili.
Wyrzy babcia... nikt nie stoi,
tylko wicher dziwy broi,
lecz nie wpuszczam go do chatki.
Bedziem sobie prawie gadki.
„Hen za górą, hen za morzem,
żyła Kasia w ciemnym borze.
Aż raz w bór ten, bór sosnowy
król na wielkie zjechał łowy...“
Stasia głowa coś się kiwa,
uśmiecha się babka siwa:
ot, już usnął — spójrz na zucha:
I bajeczki nie dosłucha!..

Anna Świrszczyńska

Na podzimku

Przeszedł październik
w tęczęwaj barwie;
astrów, złocieni
nikt dziś nie narwie.
Het, ponad wioską,
het, ponad miastem,
niebo płaczące,
niebo chmurne.
Wrony już wieszczą
zimy początek.
Samotny stoi
przydrożny Świątek.
Z jednej topoli,
z drugiej i z trzeciej
ostatni listek
wczoraj obleciał.
Tylko wichrzysko
świszeze dowoli
na jednej, drugiej
trzeciej topoli.
Lecz przyjdzie zima
z wnuczusiem grudniem,
śnieżne kilimki
tkać będzie cudnie.
Otuli Świątka,
ozdobi pole
i jedną drugą,
trzecią topole...

Lucyna Krzemieniecka



W teatrze zukiłek, dzieci z ogromnem zciekawieniem przyglądają się tańczącym i śpiewającym lalkom

Dzwony

Legenda

Istnieje legenda, że w pewnym mieście holenderskiem znajdował się piękny, starożytny kościół. Przy kościele stała również stara dzwonnica, a w niej bardzo dziwne były dzwony. Starzy ludzie opowiadali, że dzwony te miały głos przesłizny, lecz z młodych osób nikt ich jeszcze nie słyszał. Odzywały się one podobno tylko w dzień Bożego Narodzenia i to w takim jedynie razie, jeżeli ktoś złożył bardzo cenny dar u stóp ołtarza. A że wszyscy bardzo pragnęli usłyszeć głos tych dzwonów, zatem razu pewnego, przed świętami Bożego Narodzenia król wezwał mieszkańców miasta, a eby w czasie świąt przynosili ofiary swoje do kościoła.

Kiedy nadszedł już dzień świąteczny, król pierwszy zbliżył się do ołtarza i złożył na nim bogatą swoją koronę. Licznie zebrani w świątyni mieszkańcy miasta przysłuchali się wspianiałej koronie królewskiej i pewni byli, że dzwony zaraz zadzwonią, bo czyż może być dar cenniejszy, niż brłéwska korona?

Dzwony jednak nie zadzwoniły.

Potem zbliżył się żołnierz i złożył swój miecz u stóp ołtarza.

Ale i tym razem dzwony nie zadzwoniły.

Jakaś kobieta przyniosła śliczną, własnoręcznie utkaną suknię i położyła ją obok miecza wojaka.

Lecz dzwony ciągle milczały.

Młoda dziewczyna złożyła u ołtarza piękne kwiaty, które sama wyhodowała.

Dzwony mimo to nie dzwoniły...

Na oddalonym krańcu tego miasta mieszkał ubogi chłopiec, imieniem Piotruś. Oddawna zbierał on już miedziaki na ofiarę do kościoła. Ciężko mu było je zaoszczędzić — wszystkiego musiał sobie odmawiać. Ale teraz biegł już z darem swoim, bardzo cennym dla niego, bo z wielkim trudem zdobyty. Był już blisko kościoła, kiedy usłyszał żalosne skomlenie. Obejrzał się i spostrzegł stojącego pod murem, wynędzniałego pieska ze złamaną nogą. Żał mu było biedaka, ale co miał robić?

Było już późno. Gdyby wziął pieska do domu i opatrzył mu nogę, potem zaś

wrócił z darem swoim, kościół byłby już zamknięty i Piotruś nie mógłby złożyć swojej ofiary. A szkoda, bo mimo wszystko w głębi duszy żywił on iskierkę nadziei, że może Pan Bóg przyjmie jego ofiarę i dzwony zadzwonią?

Kiedy się tak wahał, usłyszał znowu skomlenie biednego pieska, jeszcze żalosniejsze. Teraz szybko już schował do kieszeni pieniądze, wziął pieska na ręce i pobiegł do domu, jak tylko mógł najprędzej. Skoro mu tylko drzwi otworzono, zawołał młodszego brata i rzekł mu:

— Jurek, bierz pieniądze i biegnij do kościoła. Ale śpiesz się, bo kościół wkrótce zamkna, a dzwony jeszcze nie zadzwoniły.

Sam tymczasem nakarmił pieska i zabrał się do bndażowania złamanej łapki.

Mały Jurek biegł co tchu do kościoła. Zachodzące słońce kładło już długie cienie na nawę świątyni, gdzie lud zgromadzony napróżno oczekiwał tak bardzo upragnionego dźwięku dzwonów. Jedni po drugich składali wierni swoje dary, lecz dzwony ciągle milczały.

Ludzie zawiedzeni, zmeczeni długim oczekiwaniem, zaczęli już wychodzić z kościoła, kiedy zdyszany, bez tchu prawie wbiegł na schody mały chłopczyzna, szybko przebiegł długą nawę kościelną, skierował się prosto do ołtarza i złożył u jego stóp drobnych kilka monet.

Nagle ze starej, milczącej od wielu lat dzwonnicy rozległ się głos dzwonów, piękny, wspaniały i czarowną swoją melodią napelnił świątynię, powietrze i miasto całe.

Lud uradowany padł na kolana. Ludzie, którzy już lata całe się nie modlili, chwalili teraz Boga. Matki silniej tuliły dzieci do serc swoich. Całe miasto zdawało się być porwane cudną melodią i ku Bogu wznosiło serce swoje.

A z okna ubogiego domku na krańcu miasta wysunął Piotruś głowę i z radością wsłuchiwał się w orzedziwną muzykę dzwonów. Po długiej niepewności w sercu jego zapanował teraz błogi spokój.

Tłum. z angielskiego G. Majewska

Motylek Anusi

Mała Anusia bardzo lubi zwierzątka. Wszystko co żywe i porusza się. Nawet żaby goni latem, chwytą do fartuszka i nosi je.

Prosi ciągle swoją mamusię:

— Mamusiu, kup mi jakie żywe stworzonka! Kotka albo pieska...

Ale mamusia nie chce ani kotka ani pieska. Odpowiada, że ma dwoje dzieci, Józefka i Anusię — i piesek ani kotek są jej niepotrzebne.

Wraca sobie pewnego dnia — (zdaje mi się, że był to 20 listopada zeszłego roku) Anusia ze spaceru. Idzie wolno, mamusia już weszła do mieszkania, a Anusia jeszcze jest na ulicy. Idzie aż tu spojrzała na ziemię i co widzi?... Mały, zziębnięty motylek leży sobie na przyprószonej śniegiem ziemi.

— Może jeszcze żyje?

Anusia schyla się i zabiera go do domu. Zawinęła delikatnie w chusteczkę i niesie. Wchodzi do sieni — mamusia pyta się:

— Co tak długo tam zostajesz, córeczko?

— Ach, mamusiu, mam nareszcie żywe stworzonko! Naprawdę, chyba jeszcze żywe! Ma ceglaste znaki na końcach skrzydełek!

— Tak, to admirał, ale pewno już nie żyje — odpowiada mamusia.

Anusia w płacz.

— Ja nie chcę, żeby on nie żył! On ma żyć!

Więc mamusia, chcąc Anusię pocieszyć, odpowiada.

— No dobrze, dobrze, zobaczymy, może ożyje, położymy go w ciepłym pokoju na kwiatkach i zobaczymy.

I czy uwierzycie? Motylek w ciepłym pokoju na kwiatkach chryzantemu i pelargonji ożył. Zaczął poruszać skrzydełkami. Jakże się z tego cieszyła Anusia! Zrobiła mu sama syropu z cukru, nałala troszeczkę na szybę, — i miała zimą żywego motylka, który, jak tylko zaświeciło słonko, rozwijał skrzydełka nawprost słońca i wygrzewał się na listkach kwiatów. Najbardziej lubił listki pelargonji. W każdym z nich duże, okrągłe dziurki.

I do dziś dnia — a mamy już 20 stycznia, motylek żyje — wygrzewa się na słońcu, o ile zaświeci, a wieczorem lata sobie wokoło elektrycznej lampy. Myśli zapewne, że to słońce!

Podobno motyle samiczki zawsze żyją dłużej, przezimują, a na wiosnę złożą jajka i giną.

H. Staniawska

W lesie

Żył w wielkim borze zwierz,
co się nazywał jeź.
Miał w grzbiecie kołców moc,
polował tylko w noc.
Co spotkał, zaraz jadł.
Bał go się nawet gad.
Ze żmii zaraz trup,
bo jeź ją: chrup, chrup, chrup!
Oj, straszny, straszny był!
Oj, długo, długo żył!
Aż w pewną ciemną noc,
choć w grzbiecie kołców moc
broniła go, aż strach,
pożarł go lis: ciach, ciach!
Szkoda, że zginął jeź!
Załużę go. Wy też?

T. Faliszewski

Uczmy się śpiewać!



Każdy harcerz i zuch śpiewa,
Każdy przyjaciel „Krasnoludków” też musi śpiewać!

Kominiek

— Przy kominku z fajką stoję,
puszczam w kłęby dym,
a wspomnienia wszystkie moje
ulatują z nim...

Śpiewał sobie kiedyś dziadunio szarą
godziną. Mała Zośka usłyszała to śpiewa-
nie, a że była „wtrącałka” więc zaraz
swoje trzy grosze wtrąciła:

— Jakże to dziadunio śpiewa, przecież
kominy na dachu są, a po dachach nikt nie
chodzi, chyba kominiarze.

— Bo też ja nie o kominie śpiewam,
moja „pani poprawialska”, tylko o ko-
minku, a kominki to i w pokoju bywają.

— Kominki?

— A tak, Zośka, kominki. Widzisz, ma-
ła, kiedyś ludzie obywali się zupełnie bez
kominów, palili ognisko na środku izby, a
dym wychodził, którego chciał, najwięcej
przez dziurę w pułapie.

— Gdzie, dziadziu?

— W pułapie. To samo, co sufit. Jesz-
cze i dziś takie chaty spotkać można; na-
zywają się kurne, bo się w nich kurzy.

— No dobrze, dziadziu, ale gdzież tu
ten kominiek, skoro tam i komina nawet
niema?

— Poczekaj, wszystko będzie: i komin
i kominiek. Ludziom się sprykrzyło, że

im ogień kurzy w nos i w oczy gryzie, i
obmurowali go ze wszystkich stron, jakby
budką, nad tą budką zbudowali komin,
żeby dym nie laził po izbie i dziur w da-
chu szukać nie potrzebował, tylko od razu
wędrował w świat, gdzie mu tam było
potrzeba. Później się ludzie nauczyli i
piece kuchenne budować, i cblebowe i kaf-
lowe. Sławne były w Polsce gdańskie
piece.

— No, a kominki?

— Kominki to także piece, tylko otwar-
te z jednej strony tak, że widać, jak się
w nich ogień pali. I ciepło i miło na ogień
patrzeć.

Niema takich gawęd, jak przy komin-
ku. W kominkach drzewem tylko palili,
nie węglem, którego tak jeszcze nie znano
wtedy, jak dziś. Na dworze może zawie-
rucha, słota albo śnieżyca, a tu przy ko-
minku cicho, ciepło, miło... Szara godzina.
Taka sama, jak teraz, tutaj, nasza w tej
chwili. Hej! Ile to się pięknych godzin
przy kominku przeżyło! Ilu baśni i gawęd
się nasłuchało!

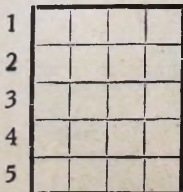
Ocknął się dziadzio.

— Idź no kochanie, do Józefowej, po-
proś o lampkę, bo pisania mam jeszcze dziś
dużo.

K. Konarski

Rozrywki umysłowe

Łamigłówka

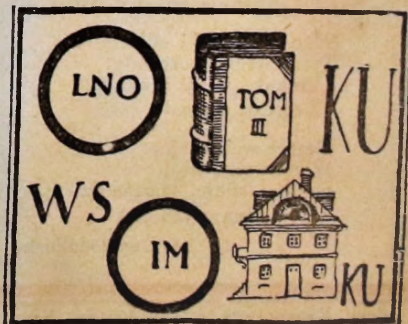


W podane kratki
wpisać pięć wyra-
zów. Pierwszy i
trzeci rząd pionow-
y dadzą to samo
rozwiązanie: część
domu.

Znaczenie wyrazów:

- 1 — rzadkie zwierzątko, mieszkające
w puszczy nad wodą;
- 2 — długie żelazo, puste w środku;
- 3 — inaczej napad;
- 4 — matka;
- 5 — imię pierwszego człowieka.

Rebus



Mała „gwiazdeczka”

Czy wiecie kto jest ta mała dziewczynka z dużym psem na obrazku obok? Pewnie ją znacie! To przecie najmłodsza gwiazdka filmowa Szerlej Templ ze swym przyjacielem — ogromnym psem, który też grywa w filmach. Mała Szerlejka pięknie śpiewa i tańczy, a najładniej się śmieje, dlatego lubią ją i kochają wszyscy, i ci co mieszkają w Holliwood, w tem mieście rodzinnem filmów w Ameryce, i ci co nigdy jej żywej nie widzieli, a widzieli tylko jej piękną twarzyczkę i miły uśmiech na ekranie w kinie. Nam, Krasnalom, Szerlejka też bardzo się podoba i jak tylko zobaczymy, że w jakimś kinie jest obraz, w którym ona gra, zaraz ciulamy santymy i biegniemy do tego kina żeby ją zobaczyć.



Jesień

Wierszyk ten napisała dla was
Wasza przyjaciółka z Estonji. Prze-
czytajcie i napiszcie, jak się wam
podał.

Smutno lasy zaszumiały,
Rosą zimną zapłakały,
Listki wszystkie rozsypały
I zasnęły już.

Cicho wkoło... Las nie szumi...
Stoi groźny w ciężkiej dumie
Taki smutny, taki szary.

Któż cię zmarwił, któż!

Wszystkie ptaki odleciały,
Tylko wrony pozostały,
I krakały, wciąż krakały.

Cóż się stało, cóż?

Deszcz wciąż leje,
Wiatr wciąż wieje,
Smutne dzieje, smutne dzieje.

Zima czyha już.

A. Brzozdolińska

Bajeczki

Szare bure kotki
z bosemi łapkami
dźwigają kobiałkę
wypchaną bajkami.
Siadły odpoczywać,
a bajki z kobiałki
sypią się na ziemię
tak jak ulegalki.
Została się na dnie
najmniejsza bajeczka.
— Dajcie mi ją, kotki,
dla mego syneczka!

K

Żarty

Przed klatką kanarka:

— Biedny ptaszek, przecież on ma tak
mało powietrza w tej malej klatce!

— Czy wiesz, co to jest tajemnica?

— To taka rzecz którą się opowiada tyl-
ko pocichu na ucho.

— Ogłoszenie: Jest do sprzedania duży
dwuletni pies, jada wszystko, najwięcej
lubi dzieci.

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 57, „Krasnoludki”

Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnau iela Nr. 57